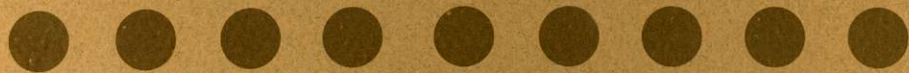


**JULIA HARTWIG**  
**POWROTY**





Julia Hartwig

POWROTY



Wydano z okazji 90 urodzin Julii Hartwig

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

Lublin, 14 sierpnia 2011



## ELEGIA LUBELSKA

*Więc urodziłam się na tym skrawku ziemi.  
Co mam zrobić żeby poczuć się tutejszą?*

1.

Budzi się w klasztorным hoteliku  
przez okienko szeroki widok na okolicę

Jest ranek  
ranek lubelski

Rozległą łąką nie-łąką między bujnymi lipami  
wydeptaną ścieżką na skróty idą do pracy kobiety i mężczyźni  
mijają Zamek i miejsce po synagodze  
potem cerkiew i targowisko

Lublin

jeszcze nie kresy ale już kresy  
haftowane ręczniki na stołach święte obrazki na ścianach  
na jednych ikony na innych Jezus o płonącym sercu  
pienia nabożne w różnych językach  
i nieme powietrze w którym zastygł jęk pomordowanych  
wepchnięte w gardła zawodzenie a potem cisza  
wielka i ostateczna cisza z odorem duszącego dymu  
i roznoszonych wiatrem łachmanów

2.

Na cmentarzu matka ojciec i siostra  
Matka osobno pod kaplicą prawosławną samotna  
tak jak musiała czuć się samotna  
porzuciwszy rodzinną Moskwę  
jej światła i gwarne bulwary

W pobliżu grób Czechowicza  
pochowanego wśród żołnierzy „poległych na polu chwały”  
Zawsze ktoś przynosi tu kwiaty  
bo trwa i nie poległa chwała jego wierszy  
ich słodycz naruszona profetyczną wizją przyszłości

On jeden potrafiłby opłakać to miasto  
on który rzucił na nas czar jego sennej piękności  
potrafiłby uczcić pochody widm które tu się snują  
znaleźć modlitwę na *dusz cierpiących upalenie*

3.

A ja mała wtedy dziewczynka  
chłonąca ten świat ciemny ruchliwy pełen zgiełku  
i okrzyków w niezrozumiałym języku  
które cichną nagle w piątkowe wieczory  
kiedy przez okna połyskują światła zapalonych świec  
a w gęstym mroku Grodzkiej i Szambelańskiej staroświecka latarnia  
rzuca blade ruchliwe blaski na pochyłe ściany domów

4.

Odwróćcie wzrok ode mnie bramy mojego miasta  
bramy miejskie żartoczne bramy  
przez które uszło życie z tych ciemnych uliczek  
O wieże rodzinnego miasta  
goniłyście mnie po świecie groziły  
nic wam nie jestem winna nieczułe olbrzymy  
które przetrwałyście nie uroniwszy ani jednej tzy  
nad miastem mojego dzieciństwa

wiersz z tomu *Nie ma odpowiedzi*



## ODWIEDZINY

Na Placu Trzech Krzyży w Warszawie,  
naprzeciw zwalonego kościoła Świętego Aleksandra  
jest Instytut Głuchoniemych.

Stał kiedyś, dziś jest tylko.

Tam poszłam

w parę miesięcy po zniszczeniu Warszawy.

Była wczesna wiosna. Pył się unosił

z pustych wnęk domów,

nad którymi otworzyło się nieba więcej niż kiedyś.

W Instytucie spodziewałam się odnaleźć towarzyszkę pracy Józefa

Czechowicza,

poety, którego wśród wielu trzeba pamiętać.

Nam, dorastającym, wiersze jego podały obraz świata

jak liść młody, jak zwierzę jeszcze gorące od narodzin, pełne

trwożnych przeczuć.

Nie trzeba ich stroić. Ani mogiły poety na cmentarzu w Lublinie,

gdzie ma grób na centymetr nie szerszy od innych,

co zabici od bomby, kamienia, strzału.

Towarzyszka pracy pedagogicznej Czechowicza (był on bowiem  
nauczycielem dzieci upośledzonych: ślepych, głuchych i niemych,  
dla których zarówno kalendarz jak i ważne sprawy życia wraz z posiłkiem  
mają powolniejszy bieg)

stała właśnie przed ogrodnikiem w szarym kitlu, z gracją,

wydając mu zarządzenia. Z boku widziałam jej zamknięte wargi,

nieme z wyboru, nieme z przekonania,

nieme z doświadczenia długich lat. Tylko uskrzydłone dłonie

złobiły powietrze w arabeskę, której piękno i logika były mi niedostępne.

Tak żyje człowiek, którego karmią dwa światy,

jak ksiądz, jak poeta, jak dozorca więzienia.

Najpierw wskazała mi lewą ręką: na boisku bawili się w piłkę chłopcy  
czyści, odziani ubogo; zresztą jak inni chłopcy w ich wieku weseli.  
Ale ich radość nie udzieliła się mojej; był to najsmutniejszy z niemych  
filmów jakie widziałam.

Tam, gdzie prawą ręką podaną na pożegnanie już mi nie wskazała,  
tam,  
drogą ku wyjściu, wydeptaną wśród odłamków gruzu,  
szedł pochód równie godny zapamiętania jak rytmiczne pochody greckich  
płaskorzeźb.

I jeśli nie przekaze go ostatni z tego wieku,  
słusznie zwali się w gruz architektura spódomów,  
bez żalu niech niebo zapanuje nad ziemią.

Z ogrodu, spod drzewek bielonych wapnem, nieśli robotnicy na noszach  
polane wapnem ciała pensjonariuszy tego zakładu.

Jaka była dla nich ta suita wojny?  
Czy bez szmeru walił się świat wśród błyskawic i wstrząsów  
i tryskały w górę płomienne fontanny ziemi i piasku,  
aż dopiero uderzenie śmierci przyniosło im głos pierwszy  
tak oczekiwany?

Kto pobielił drzewka wapnem — ochronił je od szkody.  
Kto zalał ciała wapnem — nie uchroni ich od rozkładu.  
Z ciał niemych ulatując życie  
nie potrafiło wydobyć okrzyku, jak wybuch ostatni.

Przetrwały mumie faraonów, kąpane w kadzidłach i oleju,  
po fellahach wieść tylko.

I o tych tylko wieść zostanie.

Silniejszym tylko trzeba podjąć ją głosem,  
aby mocniejszym zjeżyły się włosy od niemoty słabych.

## LUBLIN 1946

Miasto rodzinne pod niebem  
jak zatopione na dnie jeziora  
oto zapadcm znowu w wieczność.  
Kotłyszam mnie wzdłuż ulicy twe dzwony  
odlane z gorącego jeszcze armatniego huku.  
Oto przypędziły mnie ku tobie wskazówki słońca  
ale już pora odciąć pępowinę co mnie z tobą wiąże  
gdy znowu na rynku syci a niezadowoleni mieszczanie  
pośród krakania wron, pośród ruin.  
Wyciekają tu ze mnie lata o najczerwieńszej krwi.  
O, pozwól, by wyjechał wielki głośnik przez Twą Bramę Złotą  
i tu, między malarzem malującym rudery  
między gruźliczym dzieckiem i cwaniakiem złodziejskim  
niech tryśnie pieśń odnowienia!  
Niech bije wielkim strumieniem  
aż zaczną prychać pod nią uczniaki  
i zwilgną oczy starych  
a ulicami runie rzeka stokroć czystsza od Bystrzycy.  
Po niej płynąc dziewczęta wic będą kaczeńce ze Sławinka  
a chłopaki grać na organkach.

## PAMIĘCI OZECHOWICZA

I padłeś własnym wierszem powalony  
Pod ruinami miasta ze światem umarłym w sobie  
Czy ten co słowem grozi wierzy aż do końca  
Giń Niniwo I swąd czuć i wałą się mury

Gdy widzi że się spełnia sen przecucie wiara  
Chciałby cofnąć swe słowa  
Chciałby schronić się w domu  
Lecz tu właśnie ginie

Biedne dziecko maligny synu urzeczenia  
Zawczasu twoja sława dziedzicom ogłoszona  
Zawczasu sielskość łak  
Wobec popielisk zaświadczona  
Zawczasu na grobie własnym  
Zielony złożyłeś laur



## NIEPOTRZEBNE SKREŚLIĆ

Było nas pięcioro  
Skąd przyszło do głowy rodzicom żeby rodić tyle dzieci?  
Nazwiska trojga znalazły się w encyklopedii  
Nie ma jednak pewności czy nie znikną w jej następnych wydaniach  
ustępując miejsca komuś ważniejszemu  
Jeśli jednak same talenty okażą się mało trwałe  
być może pozostanie coś co kiedyś  
zapewniało dobre imię: przyzwoitość  
„bonne souche” mówią Francuzi  
a idzie po prostu o mniej więcej czyste rachunki

Wszystko co w nas najlepsze pochodziło od matki  
Ale ona szybko nas opuściła  
nie mogąc podźwignąć ciężaru cudzoziemskości

Jeśli można tak to nazwać: kochaliśmy się wszyscy  
Ale nasze drogi szybko się rozeszły

Jaki był nasz ojciec – nikt z nas tak naprawdę się nie zastanawiał  
Jego energia przewyższała energię całej naszej piątki  
Wciąż zapracowany nie zajmował się nami zbyt  
ku naszemu zadowoleniu  
Nie sprawialiśmy mu zresztą większych kłopotów  
życie prowincjonalne nie wystawiało nas na zbyt wiele pokus

Był fotografem starej daty  
Zawód ani lepszy ani gorszy od innych  
przed rewolucją żył w Moskwie z młodą żoną i małymi dziećmi  
prawie luksusowo  
w Lublinie zdobył sobie należne mu miejsce i szacunek  
coś na kształt lokalnej sławy

Najczęściej robił zdjęcia rodzinne i portrety  
ale jego temperament sprawił że stał się pierwszym fotograficznym  
reporterem w swoim mieście  
Potrafił przed wojną zatrzymać pochód pierwszomajowy  
żeby zrobić demonstrantom zdjęcie  
z wysokości rozstawionego na chodniku stołu  
z którego jak strach na wróble wysterczał statyw jego staromodnego  
aparatu  
nakrytego ciemną płachtą

Kochał teatr i operę  
i pracując w ciemni wygwizdywał melodie ulubionych arii  
Palce miał zawsze brązowe od kwasów  
ale moment ukazania się na papierze obrazu  
który utrwał minioną chwilę  
napełniał go wyraźnym zadowoleniem

Miał bibliotekę rosyjskich klasyków w oryginale  
i czytał wieczorami leżąc w łóżku  
póki zmęczenie nie zamknęło mu oczu

Niechętnie wysuptywał pieniądze na mój nowy fartuszek szkolny  
i robił to tylko wskutek perswazji wychowawczyni klasowej  
Zdarzało mu się jednak wydawać czasem pieniądze na rzeczy  
najzupełniej zbyteczne  
na kryształowy wazon lub staroświecki zegar

Nieraz odprowadzał mnie do szkoły  
Bywało też że przynosił mi na szkolną pauzę zakupioną w sklepie  
butkę z szynką  
polecając doręczenie woźnej która zamiast pilnować porządku  
musiała uganiać się za mną po korytarzach lub po boisku szkolnym

Nie miał zwyczaju ani czasu na prowadzenie z nami rozmów  
był jednak dumny z naszych postępów w nauce  
Wszyscy z nas mniej więcej wiedzieli czego chcą  
Tylko mój najstarszy brat bardzo piękny  
artysta z temperamentu i playboy w dawnym stylu  
nie mógł się zdecydować co będzie robił dalej  
kiedy zawiodły go talenty malarskie

Mieliśmy więc do czynienia z przyszłym lekarzem przyszłą pielęgniarką  
i młodą mężatką która wydawała się zadowolona ze swego nowego stanu  
nie snując dalszych planów  
Najmłodsze kurczę nie sięgało jeszcze myślami poza gimnazjalne mury  
i czytelnię  
gdzie równie dostępne były „Wiadomości Literackie” „Pion”  
i „Prosto z mostu”

Dziś myślę że jeśli pozostawieni własnej samowoli  
nie zrobiliśmy z niej najgorszego użytku  
stało się tak dzięki wyniesionym z domu rodzinnego przekonaniom  
że droga prosta jest najkrótsza  
Dopiero po latach miało się okazać  
że decyzja jest zawsze w rękach tego „co kule nosi”

Wkrótce po śmierci mamy ojciec ożenił się po raz wtóry  
Moja starsza siostra wspomina  
że do jej obowiązków należało poszukiwanie ojcowskiego kapelusza  
który wciąż gubił się w dorożkach załadowanych fotograficznym  
sprzętem

Czasem zdawało mi się że pod tą rozwianą na wietrze płachtą aparatu  
wzleci kiedyś w niebo gdy nadejdzie jego pora

Ale śmierć dosięgła go dopiero po kilku latach choroby  
którą spędził unieruchomiony w łóżku  
Cios losu jak zawsze celny uderzył go tak żeby najbardziej zaboląło  
bo ruchliwość jego była przysłowiowa

Lubił wspominać Moskwę Kijów i Odesę  
po której ulicach toczyły się zrzucane z wozów ogromne kawony  
będące dla niego symbolem beztroskiego dzieciństwa

Co do mnie – zawsze nie znosiłam fotografii  
Gust do niej przywrócił mi dopiero mój najstarszy brat  
który uczynił z niej dzieło sztuki  
i był jedynym chyba znanym mi człowiekiem  
który nie znał zawiści i nigdy nie powiedział o nikim złego słowa

wiersz z tomu *Bez pożegnania*



## PRZYWOŁYWANIE

Wyrwana prosto z gniazda starowierców,  
z rodziny znanej mi tylko ze zdjęcia,  
gdzie widać ich wszystkich, siedzących za stołem w ogrodzie,  
jak u Czechowa.

To moi wujowie i ciotki, a ten ponury starzec z siwą brodą  
to mój dziadek.

Nie znam nawet ich imion, odróżniam tylko Kołę,  
którego matka kochała najbardziej  
i do którego podobny był jeden z moich braci.

Musiała żyć w niej pamięć o nieznanym przodkach,  
o tych nieokreślonych w głuchym fanatyzmie chłopach,  
którzy kryli się w głębi najciemniejszych borów,  
przed prześladowaniami wiary,  
silniejszej niż ukazy cara i potężne prawosławie.  
Ten upór, ta siła musiały tkwić w najtajniejszej głębi jej serca,  
szarpanego nieustanną trwogą o los porzuconej rodziny.

Pewno lepsza była ta Polska od rewolucji, przed którą uciekła  
z małymi dziećmi, za mężem Polakiem.  
Polski obyczaj i polska mowa wypełniały jej dni codzienne i świąteczne,  
noce mijały w szarpiącym ogołoceniu duszy.

W cerkwi, gdzie bywała każdej Wielkanocy,  
odnajdywała swój język.  
Potężne jak organy, głębokie basy  
w obłokach kadzidła  
rozbrzmiewały w niekończących się błogosławieństwach i błaganiach.

Znak krzyża od prawego do lewego ramienia,  
radość odnalezionnej wspólnoty po wyjściu ze świątyni,  
w rzeźwym podmuchu wiosny pocałunki, uściski  
i niesione z ust do ust Kristus Woskries! Chrystus Zmartwychwstał!

Mała, zaledwie od ziemi odrosła,  
przyrowadzana za rękę,  
tam poznawałam pierwszy smak oddalenia od tego co najbliższe  
i drżeć zaczęłam by jej nie utracić.

Ale stało się, że odeszła.  
Hardość doprowadziła tę duszę do upadku nadziei tak głębokiego,  
że postanowiła opuścić nas na zawsze.  
Od takich postanowień nie ma już odwrotu.

Kiedy znaleźliśmy ją leżącą na dziedzińcu tamtego ranka,  
wyglądała jakby po prostu idąc potknęła się i upadła.  
O, mamo, jak to się stać mogło?  
Z nas wszystkich ty jedna powinnaś była umieć latać.

wiersz z tomu *Bez pożegnania*

## NA CZEŚĆ MOICH BRACI

Dziękowaliśmy Bogu żeśmy się uchronili w czasach klęsk  
rodzina która mogła się siebie doliczyć  
Wyszliśmy z tego i udało nam się żyć dalej  
Jeden brat powrócił po dwóch latach z surowej Północy  
nie do rozpoznania na zdjęciu zrobionym podczas postoju  
w Białej Podlaskiej: widmowa bladość na głowie sowiecka uszatka  
obok niego dwaj współtowarzysze z obozu  
jednego z najcięższych  
Jogła

Wepchnięto ich do nor wykopanych w ziemi  
i obleczone w niemieckie mundury  
żeby nie budzili współczucia miejscowych  
Osłabł tak że współtowarzysze wywlekali go siłą z legowiska  
i ciągnęli trzymając pod ramiona ku rzece  
gdzie pracowali przy spalaniu drzewa  
Nogi zostawały mu w tyle gubił w drodze wypchane słomą chodaki  
Nie pozwalali mu odstać  
Pamięta im to  
Dzięki nim jego opowieść o naturze ludzkiej  
brzmi bardziej krzepiąco niż inne  
Kiedy chorował wynosili go na powierzchnię  
żeby mógł podziwiać zorzę polarną  
Mówili: głupi ten Hartwig ale uszanowali w nim artystę

Drugiego brata – lekarza – sadzano na odwróconym stołku  
przesłuchując ze zbrodni leczenia rannych z „Parasola”  
Fagas o zafartych rysach zabierał go raz po raz z kliniki na  
Nowogrodzkiej  
i seanse ciągnęły się z przerwami przez długie miesiące  
Nie przeszkadzało to między jednym przesłuchaniem a drugim  
wzywać go do chorych dostojników  
był bowiem jednym z najlepszych w swoim zawodzie  
a prawość była jedną z przyczyn dla których go dręczyli

Z własnej już chęci leczył Prymasa Tysiąclecia  
który lubił z nim pogwarzyć w korytarzu  
z daleka od podsłuchu pytając za każdym razem  
Co słychać panie Walenty  
Z wdzięczności za powrót brata z obozu  
ślubował odbyć pieszą pielgrzymkę do Częstochowy  
Kiedy z niej powrócił powiedziano mu:  
Może pan zapomnieć o kierowaniu instytutem  
Nie przyjął tego jako klęski

Przybiegał do nas w roku sześćdziesiątym ósmym  
przybiegał w stanie wojennym niepokojąc się czy nas nie wzięto  
Pamiętam jak spotkałam go na warszawskiej Pradze  
podczas okupacji niemieckiej pogroził mi palcem  
zgadując jakieś kurierskie zadanie  
Karcił mnie kiedy chodziłam na uniwersytet podziemny  
bo przyszedłszy kiedyś do mieszkania które mi wyznaczono  
zobaczył goły siennik i tyżkę wetkniętą w garnek z zaschniętą kaszą  
Nie umiem nakreślić portretu moich braci

wiersz z tomu **Zobaczone**

## PAMIĘCI W.

Tak  
miał z pewnością dobrą pamięć i był świetnym diagnostą  
Znakomity lekarz któż to zaprzeczy  
Ale ja chwałę dziś dobrą pamięć  
jaką po sobie pozostawił  
ten dobry człowiek

wiersz z tomu Bez pożegnania



## SIOSTRA

Po ucieczce z Rosji  
tak mało mieli w Polsce bliskich  
że wybrali mi na chrześną moją starszą siostrę  
która gdy dorosła zastępowała mi matkę  
Myślę że nie miała łatwego charakteru  
nie objawiała też żadnych talentów  
i z trudem ukończyła gimnazjum

Ponieważ nasz ojciec był osobą powszechnie szanowaną w mieście  
uważano że zdeklasowała się  
wychodząc za mąż za skromnego chłopca bez zawodu  
Wyptacił się naszemu ojcu z nawiązką pielęgnując go w łóżku  
przez długie lata niedołężnej starości

Byli najserdeczniejszymi z ludzi  
żyli pokornie przyjmując swój los  
jako sprawiedliwie odmierzony  
nie wspinając się ku żadnym przywilejom ani zaszczytom

Owdowiała  
chora

już po siedemdziesiątce  
jedyna z rodziny która pozostała jeszcze w Lublinie  
umarła w szpitalu

Podobno wzywała mnie w ostatnich chwilach  
Nieprzytomna wodziła dłonią po ścianie  
a kiedy pielęgniarka zapytała ją dlaczego to rabi  
odpowiedziała: Tam jest Władzio (to było imię jej męża)  
Nie może tu wejść.

## KOLEŻANKI

Głos łacinniczki był jakby trochę ostrzejszy,  
kiedy się do nich zwracała.

(Nigdy po imieniu)

Miriam była zawsze doskonale przygotowana.

Reginka słabsza, ale poprawna.

Trzymały się razem

i razem wychodziły z klasy przed lekcją religii.

Ostatni raz spotkałyśmy się niespodziewanie u wylotu Lubartowskiej,  
na granicy świeżo utworzonego getta.

Stały tam onieśmiałone jakby przydarzyło im się coś wstydliwego.

wiersz z temo *Bez pożegnania*

## W DRODZE

Na cmentarzu żydowskim  
są najstarsze drzewa

Kruk  
kantor oniemiały  
nie śpiewa

Nad drzew wierzchołkami  
ciężką jesienną chmurą  
przechodzą tysiącami

Wychodźcie im na spotkanie  
zamknięci w pałacach pomników

Razem przez deszcz siekący  
przez błyskawice  
iść wam dziś trzeba

Ci którzy miejsca swojego nie mają  
którzy sami są ogniem i deszczem  
Teraz się z wami bratają

Bo jeszcze  
nie koniec ich końca  
nie koniec



## VICTORIA

Dlaczego nie tańczyłam na Polach Elizejskich  
kiedy tłum wiwatował na cześć końca wojny?  
Dlaczego to nie ja rzuciłam się w ramiona temu marynarzowi  
który schodząc z trapu z płóciennym workiem na ramieniu  
biegł ku mnie przepychając się przez rozgorączkowany tłum  
gdy z wszystkich megafonów dobiegały już  
rozszałałe dźwięki bebopa  
na przemian z Marsylianką i hymnem Boże strzeż Królowej?

Dlaczego nie rozbiłam butelki szampana  
w pobliżu ich obu ubranych jeszcze w angielskie mundury  
i nieprzeczuwających że kiedyś stanę u końca ich drogi?

Dlaczego pisane mi było żebym na głównej ulicy Lublina  
na widok wchodzących oddziałów z czerwonymi gwiazdami  
płakała z radości że nie usłyszę już znieprawdzonego: Raus! i Halt!  
i z szarpiącego żalu że jest to cena za utracone marzenie  
o triumfalnym wjeździe bohatera na białym koniu  
i o powrocie tych którzy podwójnie oszukani  
tu już wracać nie chcieli

Staliśmy więc – ci co się zachowali –  
na ulicach obróconej w pustynię Warszawy  
i dziś po latach odnajdujemy tam siebie  
trudnych do rozpoznania  
na wyblakłych taśmach starych kronik filmowych

## POWRÓT DO DOMU DZIECIŃSTWA

Wśród ciemnego milczenia sosen – krzyk młodziutkich, nawołujących  
się brzoź.

Wszystko jest jak było. Nic nie jest jak było.

Przemów do mnie, Boże dziecka. Przemów, niewinna twogo.

Nic nie rozumieć. Wciąż inaczej. Od pierwszego krzyku do ostatniego  
westchnienia.

A jednak to też było życie. I chwile szczęśliwe wychodzą ku mnie  
z przeszłości jak panny z kagankami oliwy.

z tomu *Chwila postoju*

## **Mówi akacja z dzieciństwa...**

**Mówi akacja z dzieciństwa**

**Nie takie bywały pamiętam twoje młode smutki**

**Dla kogo rzucam teraz mój słodki kwiat**

**pod balkonem drewnianym na kamiennym podwórku**

**z temo Czuwanie**



Wydawca  
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

ISBN 978-83-61064-24-4

Julia Hartwig  
Powroty

Wybór wierszy  
Julia Hartwig

Korekta  
Anna Piotrowska, Anna Kistelska

Projekt  
Izba Drukarstwa

Wydano na podstawie tomiku „Powroty” z 2009 roku  
złożonego ręcznie przez  
Tadeusza Wacława Budynkiewicza

Druk i oprawa  
Drukarnia Petit Skład–Druk–Oprawa



Nakład 200 egzemplarzy  
W tym 100 ręcznie numerowanych

Numer

085

OŚRODEK  
BRAMA  
GRODZKA



**TEATR NN.PL**



## **W CIEMNOŚCI**

**Obchodzisz urodziny**

**Po tylu latach nie poznałby cię ojciec ani matka**

**Urodziny sierpniowe pod spadającymi gwiazdami**

**To „Izy świętego Wawrzyńca”**

**Izy oczyszczone z cierpienia**

**Spadają tak szybko**

**że nie zdążysz wypowiedzieć swojego imienia**

**Julia Hartwig (2002),**

**Topos, 3-4 (76-77), 2004**

